

## Czy szkoły wyższe powinny być płatne

Zwiększenie prywatnego finansowania urealni popyt na studia i zwiększy ich efektywność

Pytania o to, jak finansować wyższe wykształcenie członków społeczeństwa, są aktualne we wszystkich krajach. Dyskusja toczy się permanentnie i prawdopodobnie nigdy nie zostanie sformułowana jedna, podzielana przez wszystkich opinia.

O tym, że kapitał ludzki i kapitał społeczny są ważnymi czynnikami rozwoju, nikogo nie trzeba dziś przekonywać. Rozstrzygnięcia co do kwestii, w jaki sposób można ten kapitał racjonalnie budować, by jak najlepiej wspomagał wzrost gospodarczy, należą do najważniejszych wyborów politycznych. To zaś w pełni uzasadnia prowadzenie otwartej debaty publicznej, a w konsekwencji także pozbawionego uprzedzeń sporu politycznego. Autor zdaje sobie sprawę z tego, że omawiane niżej poglądy są tylko jednym z wielu możliwych sposobów patrzenia na to zagadnienie.

Diagnozę można sformułować w kilku punktach:

Przy określonych kosztach kształcenia wielkość nakładów na szkolnictwo wyższe w skali państwa zależy od wskaźnika skolaryzacji, który w uproszczeniu informuje o tym, jaka część maturzystów podejmuje studia wyższe. Wysoki wskaźnik skolaryzacji w Polsce oznacza, że ceteris paribus nakłady na szkolnictwo wyższe są w naszym kraju stosunkowo (w relacji do osiągniętego poziomu dobrobytu) wysokie.

Generalnie nakłady te pochodzą z dwóch źródeł - z budżetu państwa (uczelnie publiczne) oraz z funduszy prywatnych (uczelnie niepubliczne). Słabością takiej konstrukcji jest szeroki zasięg niesprawiedliwości społecznej. Uczelnie publiczne są w tendencji lepsze i kształcą się w nich na bezpłatnych studiach młodzi ludzie z zamożniejszych rodzin, które stać było na sfinansowanie kształcenia dzieci na poziomie szkoły średniej w taki sposób, by możliwe było dostanie się na studia w niepłatnych szkołach publicznych. W uczelniach niepublicznych studiuje co do zasady ci, którzy nie zakwalifikowali się na studia do bezpłatnych uczelni publicznych.

Łączne całkowite możliwości finansowania szkolnictwa wyższego ze środków publicznych i prywatnych zależą od poziomu dobrobytu. Społeczeństwa zamożne mogą sobie pozwolić na przeznaczanie większych środków na szkolnictwo wyższe, bo je po prostu na to stać.

Wydaje się, że wyznacznikiem wysokości środków przeznaczanych na kształcenie wyższe powinny być potrzeby rynku pracy oraz pozostałe czynniki. Kadry z wysokimi kwalifikacjami są podstawą wzrostu i rozwoju gospodarczego. Ten tok rozumowania prowadzi wręcz do wniosku, że społeczeństwo powinno inwestować w wyższe wykształcenie swoich członków, gdyż oddadzą oni z nawiązką poniesione nakłady, pracując dziesiątki lat po studiach. Takie podejście abstrahuje jednak zupełnie od tego, że w dzisiejszym świecie osoby wykształcone cechują się dużą mobilnością i w poszukiwaniu lepszego życia przemieszczają się z łatwością pomiędzy krajami. Następuje oderwanie miejsca uzyskania i sfinansowania wykształcenia od miejsca, gdzie generowane są jego pozytywne efekty. Z ekonomicznego punktu widzenia oznacza to nieuzasadnione transfery bogactwa - tym razem z krajów mniej zamożnych, które kształcą na swój koszt lekarzy, informatyków, śpiewaków itd., do krajów bardziej zamożnych, do których ci absolwenci emigrują i gdzie pracują, generując bogactwo. Zdrowy rozsądek domaga się wprowadzenia mechanizmów chroniących interesy krajów, które w ten sposób są przedmiotem drenażu bogactwa.

Pozostałe czynniki wpływające na uzasadnienie finansowania studiów wyższych nie dotyczą rynku pracy, ale związane są z realizacją wyższych potrzeb człowieka, jakie stanowią z pewnością chęć rozwoju duchowego, posiadania bogatszej osobowości itp. Czasami mówi się, że wykształcenie jest wartością samą w sobie i nie

powinno być rozpatrywane z perspektywy zapotrzebowania przez rynek pracy na kadry z określonymi kompetencjami. Nie oznacza to jednak, że społeczeństwo powinno w sposób bezrefleksyjny i nieograniczony finansować tego rodzaju potrzeby ze środków publicznych.

Powyższe spostrzeżenia upoważniają do sformułowania wniosku, że kraj ponoszący wysokie nakłady na studia wyższe swoich obywateli powinien dbać także o to, by spodziewane tego efekty rozwojowe nie były zmniejszane przez emigrację. Należy przy tym zaznaczyć, że każde studia wyższe wymagają nakładów i nie jest tak, że przedmiotem naszej troski powinny być wyłącznie studia najdroższe. Bardzo spektakularny wydzwięk ma ostatnio prowadzona dyskusja na temat kształcenia lekarzy. Studia medyczne to studia relatywnie drogie ze względu na wysoki wskaźnik kosztochłonności i ze względu na czas trwania (sześć lat). Z jednej strony pojawia się postulat zwiększenia nakładów na te studia i kształcenia większej liczby lekarzy, gdyż w wielu placówkach służby zdrowia są problemy z obsadzeniem etatów. Niektóre uczelnie publiczne uruchamiają nowe kierunki lekarskie, oczekując dotacji na ten cel z publicznych pieniędzy. Z drugiej strony obserwujemy emigrację lekarzy do krajów oferujących lepsze warunki pracy. Zwykły rozsądek podpowiada, że rozwiązanie tej sytuacji nie może polegać na niekończącym się zwiększaniu nakładów na kształcenie medyków.

W związku z zasygnalizowanymi nieprawidłowościami możliwe jest sformułowanie kilku zaleceń dla państwa na takim poziomie rozwoju gospodarczego jak Polska. Brzmiały one następująco:

1. Ograniczony poziom zamożności Polski wskazuje na potrzebę odwoływania się do dobrze rozumianego interesu społecznego/narodowego i zasady racjonalnego gospodarowania. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że należy rozsądnie definiować wysokość nakładów na szkolnictwo wyższe, by przyniosły nam one jak najlepsze efekty. Myśląc mechanicznie, nakłady na kształcenie wyższe uzasadnione potrzebami krajowego rynku pracy powinny być ponoszone na poziomie szacowanych możliwości efektywnego wchłonięcia absolwentów z pożytkiem dla rozwoju gospodarczego i wzrostu poziomu dobrobytu. Finansowanie kształcenia medyków możemy zwiększać w nieskończoność, a i tak będzie u nas brakować lekarzy. Przyczyna nie tkwi w zbyt małej podaży, ale w oferowaniu przez placówki służby zdrowia mało konkurencyjnych warunków pracy i płacy. Kontynuacja obecnej sytuacji będzie sprzyjać emigracji absolwentów studiów medycznych. Oczywiście nie można im zabronić podejmowania pracy za granicą, ale konieczne są rozwiązania wiążące ponoszone koszty i korzyści z wyższego wykształcenia.
2. Podobne ograniczenia powinny zostać sformułowane dla kształcenia wyższego w tych specjalnościach, w których za finansowaniem studiów przemawiają nie potrzeby rynku pracy, ale wysoka wartość wykształcenia jako wartości samej w sobie.
3. Uwagi zawarte w punktach 1 i 2 implikują, że nie stać nas na nieograniczone nakłady na studia wyższe dla osób pożądaných przez polski i/lub zagraniczny rynek pracy oraz dla tych, którzy chcą studiować po to, by rozwijać się jako ludzie, a niekoniecznie dlatego, że będą wchłonięci przez rynek pracy.
4. Wydaje się, że te dylematy zasługują na otwartą szeroką społeczną debatę. Może niezbyt doskonałym, ale jednak jakimś rozwiązaniem mogłoby być wprowadzenie w sposób ewolucyjny, rozłożony w czasie, częściowej odpłatności za studia. Skala i tempo tych zmian są oczywiście do dyskusji. Pociągnięciu temu powinno towarzyszyć wprowadzenie powszechnego efektywnego systemu stypendialnego, systemu kredytowania studiów itp. rozwiązań, dzięki którym dostęp do finansowania nie będzie eliminował zdolnych młodych ludzi ze studiów wyższych. Częściowa odpłatność za studia uchroniłaby nas częściowo od drenażu dobrobytu za granicę w związku z emigracją absolwentów wykształconych na koszt polskiego podatnika. Nie zamyka to oczywiście dyskusji nad wykorzystaniem innych narzędzi ochrony naszych interesów. Należy przy tym jeszcze raz powtórzyć, że problem ma charakter systemowy i nie powinien być wiązany tylko i wyłącznie ze studiami medycznymi czy innymi drogimi kierunkami studiów.
5. W moim przekonaniu jakaś odpłatność za studia oprócz częściowego rozwiązania problemu oderwania miejsca ponoszenia nakładów na wykształcenie wyższe od miejsca generowania korzyści z tego wykształcenia powinna przynieść także inne pozytywne efekty. Jako wieloletni nauczyciel akademicki mam mocne podstawy do przypuszczeń, że odpłatność powinna się przyczynić do uzdrowienia relacji wykładowca - student i zwiększenia dyscypliny, a także efektywności studiów. Uważam, że także nauczyciele akademicy, dzięki odpłatności studentów, powinni być lepiej zmotywowani do wypełniania obowiązków. Do wypowiedzania takich poglądów upoważniają mnie doświadczenia z funkcjonowaniem studiów wyższych w krajach, w których są one w całości albo w części odpłatne. Chodzi o wzbudzenie świadomości relacji kontraktowo-biznesowej (edukacja wyższa to także biznes!) między studentem i nauczycielem.

6. Oczywiście wprowadzenie częściowej, ale masowej systemowej odpłatności za studia nie rozwiąże w istotnym stopniu naszych problemów ze zrównoważeniem budżetu, które mają się nasilać. Ale w myśl powiedzenia "od ziarnka do ziarnka zbiera się miarka" warto chyba poczynić kroki zmniejszające napięcia budżetowe. Ponadto częściowe przesunięcie finansowania ze środków publicznych w stronę funduszy prywatnych doprowadzi zapewne do urealistycznienia popytu na usługi szkolnictwa wyższego. Urealistycznienie oznacza przy tym obniżenie wskaźnika skolaryzacji do poziomu lepiej korespondującego z osiągniętym przez nasz kraj poziomem zamożności.

*Autor jest rektorem Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, zastępcą przewodniczącego Kolegium Rektorów Miasta Poznania i przewodniczącym Konferencji Rektorów Uczelni Ekonomicznych.*

*Prezentowane w tekście poglądy to wyłącznie opinie autora tekstu, a nie instytucji, które reprezentuje*

**Marian Gorynia**



Numer wydania: 10372  
Strona: A-008